

Autoreferat

1.

(imię i nazwisko)

Radosław Sztyber.

2.

(posiadane dyplomy)

Otrzymałem dwa dyplomy:

a) w roku 1993 — dyplom ukończenia jednolitych studiów magisterskich w zakresie filologii polskiej (specjalizacja nauczycielska). Podstawę stanowiła praca pt. „*Kronika*” Janka z Czarnkowa — *zagadnienia gatunku*, napisana pod kierunkiem Prof. dra hab. Władysława Magnuszewskiego, i obroniona w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze.

b) w roku 1999 — dyplom doktora nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa polskiego (wydany z datą 29 lutego 2000 roku). Podstawą okazały się pomyślne zdanie wymaganych egzaminów (z zakresu literatury dawnej, języka obcego, angielskiego, oraz filozofii) oraz obrona stosownej dysertacji pt. *Wojciech Dembołęcki. „Przewagi elearów polskich” (Poznań 1623) — monografia i edycja krytyczna tekstu*, napisanej pod promotorskim nadzorem Prof. dra hab. Wiesława Wydry (recenzenci: Prof. dr hab. Ryszard Marciniak, Prof. dr hab. Jacek Sokolski). Rada Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zatwierdziła odpowiedni wniosek uchwałą z 22 grudnia 1999 roku.

3.

(informacje o dotychczasowym zatrudnieniu)

Zatrudnienie po raz pierwszy znalazłem na macierzystej Uczelni w Zielonej Górze jeszcze w trakcie studiów, gdzie otrzymałem posadę asystenta stażysty, którą objąłem na początku semestru letniego roku akademickiego 1992/1993 roku. We wrześniu 1993 roku (w rezultacie konkursu) otrzymałem możliwość zadebiutowania w roli asystenta w Zakładzie Historii Literatury ówczesnej WSP. Od marca 2000 roku (również w wyniku konkursu) do chwili obecnej znajduję się w szeregach lokalnych polonistów jako adiunkt, z czasem już Uniwersytetu Zielonogórskiego i współcześnie w jednostce o bardziej wyspecjalizowanym obszarze badań (Zakład Literatury Dawnej, Bibliotekoznawstwa i Edytorstwa). W lutym 2012 roku ponownie stanąłem do konkursu, w wyniku którego otrzymałem umowę na pracę na okres trzech kolejnych lat.

3.a.

(zadania dydaktyczne, organizacyjne)

Przez wszystkie te lata spełniałem wiele rozmaitych obowiązków, dydaktycznych (kształcenie w obszarze literatury dawnej, edytorstwa, analizy dzieła literackiego, nauk pomocniczych filologii polskiej, redakcji technicznej tekstu/publikacji, technologii informacyjnych i in.), naukowych (realizowałem wyznaczone plany badawcze, których pokłosem jest ponad pięćdziesiąt publikacji, niektóre z nich oczekują jeszcze

na druk), organizacyjnych (trzykrotnie członkostwo, w randze sekretarza, w instytutowych komisjach rekrutacyjnych, wieloletnie układanie planów zajęć dla studiów stacjonarnych i niestacjonarnych, nadzór nad niektórymi aspektami internetowego serwisu IFP UZ). Przez trzy kadencje jako członek obieralny uczestniczyłem w pracach Rady Wydziału Humanistycznego UZ. Wypromowałem kilkunastu magistrów (seminarium), zrecenzowałem kilkadziesiąt prac magisterskich. W 2010 roku otrzymałem pierwszą w życiu i jedyną nagrodę Rektora UZ (II stopnia) za osiągnięcia naukowe. W czerwcu 2012 roku Rada Wydziału Humanistycznego UZ uchwaliła wniosek do JM Rektora UZ o podobne wyróżnienie za rezultaty prac w roku akademickim 2011/2012.

3.b.

(współpraca z instytucjami i inne działalności)

Przez cały okres istnienia Stowarzyszenia Przyjaciół Literatury w Zielonej Górze (1997-2003) pełniłem obowiązki jego sekretarza, zadania prezesa organizacji spoczyły na Prof. L. Liberze. Wynikiem przedsięwzięcia okazały się dwa tomy studiów; drugi z nich, poświęcony pamięci Profesora Władysława Magnuszewskiego — wybitnego znawcy literatury staropolskiej — otwiera zestawienie dokonań naukowych Badacza pt. *Bibliografia studiów i prac*, opracowane przez podpisanego niżej — nieodnotowane w rejestrze Systemu Komputerowej Ewidencji Publikacji UZ, i tym samym pominięte w przedkładanej *Liście prac* (zob. „Almanach Historycznoliteracki”. Pismo Stowarzyszenia Przyjaciół Literatury w Zielonej Górze, red. L. Libera i R. Szytyber, t. 2, Zielona Góra 1999, s. 7-12).

W ramach warsztatów edytorskich wielokrotnie współpracowałem z Prof. W. Wydrą z Zakładu Nauk Pomocniczych i Edytorstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, podobną warsztatową wymianę opinii miałem okazję odbyć kilkakrotnie (nt. zwłaszcza *Chorągwi sauromatckiej* [...] Marcina Paszkowskiego) z Drem M. Kuranem reprezentującym Katedrę Literatury Staropolskiej i Nauk Pomocniczych Uniwersytetu Łódzkiego. Od ponad dwóch lat z uwagi na wspólne zainteresowania pozostaję w bezpośrednich kontaktach z Instytutem Franciszkańskim (Łódź Łagiewniki), projektem realizowanym przez Ks. Prof. Celestyna Napiórkowskiego i Dra Stanisława Cieślaka (redaktorów rocznika pt. „Lignum Vitae”). W wyniku tych przedsięwzięć w tomie „LV” z 2012 roku winno ukazać się obszerne moje studium o księdzu Wojciechu Dembołęckim (*Lista prac*, W druku, poz. 5). Dzięki tym kontaktom niedawno miałem możliwość poznania Pana Bohdana Królikowskiego, powieściopisarza, podejmującego w swojej prozie tematykę historyczną XVII wieku. Autor niedawno osobiście zwrócił się do mnie z prośbą o zrecenzowanie Jego książki pt. *Wiatr na szablach* (Niepokalanów 2012).

W latach 2007-2009 współdziałałem z drem Richardem Šipkiem, pracownikiem Biblioteki Muzeum Narodowego w Pradze, w jej zasobach odbyłem kwerendę i otrzymałem zgodę na książkową reprodukcję przechowywanego tam zabytku (pierwowzoru polskiego druku), a Dr R. Šípek zechciał w rezultacie dostarczyć mi, odstępując od obowiązku wniesienia stosownych opłat (za zgodą kierownictwa praskiej Biblioteki), cyfrową odbitkę plastyczno-literackiego unikat. W moich poszu-

js -

kiwaniach często pomocą służyła obsługa biblioteczna, jak np. w Bibliotece Jagiellońskiej Pani Mgr Małgorzata Goluszka, Kierownik Oddziału Starych Druków czy też kadra Centralnego Katalogu Starych Druków Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Od kilku ostatnich lat występuję w roli recenzenta, korektora, konsultanta prac prowadzonych w ramach Pracowni Edytorstwa przy ZLDBiE UZ (której zadaniami kieruje Mgr K. Grabias-Banaszewska, a patronuje im Prof. S. Kufel), koncentrujących się m.in. nad edycją traktatu Adama Czartoryskiego pt. *O pocieszeniu* oraz listów rodziny Turnów, pomieszczonych w tekach Biblioteki Kórnickiej. W 2009 roku członkom Pracowni jako ich opiekun towarzyszyłem w wyprawie pt. „śladami Mickiewicza” na Krym. Zostałem powołany na redaktora (wraz z Mgr K. Grabias-Banaszewska) drugiego tomu „Prac Edytorskich”, drukowanego w Zielonej Górze, zeszytu studiów poświęconego wznawianiu pisanych dokumentów z przeszłości (w zakresie normy i praktyki).

Wielokrotnie, w różnym charakterze, współpracowałem z zielonogórskimi wydawnictwami — najpierw z wydawnictwem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, następnie Oficyną Uniwersytetu Zielonogórskiego, wydawnictwami: Verbum, Organon, Kanion, Edycja, Księgarnia Akademicka. W rezultacie wziąłem udział w procesie wydawniczym blisko setki różnych książek.

3.c.

(konferencje naukowe i popularyzacja nauki)

Od czwartej edycji międzynarodowych spotkań naukowych (2010) pod wspólnym hasłem „Fantastyczność i cudowność” po ostatnią (2012), szóstą (cykl konferencji z inicjatywy Profesora B. Trochy z Uniwersytetu Zielonogórskiego), uczestniczyłem jako autor kolejnych referatów (trzech, mających się ukazać w tomach pokonferencyjnych, zob. *Lista prac, W druku*, poz. 1, 4, 15). W 2012 roku zgłosiłem (przyjęte przez organizatorów sesji) dwa wystąpienia — do Bydgoszczy („Język — wielokulturowość — tożsamość”, 17-18 września 2012 roku) i Łodzi (XVIII Międzynarodowa i Ogólnopolska Konferencja Onomastyczna na temat „Mikrotoponimia i makrotoponimia”, 27-29 października 2012 roku) (*Lista prac, W druku*, odpowiednio: poz. 12, 13). W latach 2008-2009 wygłosiłem dwie prelekcje (*Lista prac* [5/24]; *W druku*, poz. 2) w ramach „Konwersatoriów i seminariów otwartych” (zorganizowanych przez Prof. L. Jazownika, Dyrektora IFP UZ), których pełny rejestr również opracowałem (ukazał się drukiem w: *Filologia Polska*, t. 4: *Wokół tekstów kultury. Literatura — język — Teatr — Internet*, red. M. Januszewicz i T. Ratajczak, Zielona Góra 2009, s. 411-415 — nieodnotowany w rejestrze SKEP, i tym samym pominięty w przedkładanej *Liście prac*). Wcześniej wziąłem udział w konferencji w Łodzi [2/8] (2009), Prądocinie pod Bydgoszczą [2/34] (1997) i dwukrotnie w Zielonej Górze [3/35] (1994), jedno z wystąpień (z 1996) nie zostało opublikowane w książce pokonferencyjnej, ponieważ jej redaktor Prof. C. P. Dutka przystał na moją sugestię, by nie drukować tego tekstu ponownie, gdyż artykuł był dostępny na stronach „Pamiętnika Literackiego” już w 1997 [6/19], przed ostateczną edycją tomu gromadzącego wygłoszone materiały (*Genologia i konteksty*, Zielona Góra 2000). Nieco później (2002), również w Zielonej Górze, w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece im. C. K. Norwida wystąpiłem z wykładem o rytym i

js-

pisany artefakcie z 1621 roku [1/33]. Wraz z Drem J. Recką organizowałem (1994) konferencję naukową pod hasłem „Z warsztatów badawczych. Literatura — Kultura — Język”, w której wziąłem udział po raz pierwszy jako prelegent [3/35]. Ostatnio zostałem zaszczycony (2012) zaproszeniem do wsparcia najnowszej cyklicznej inicjatywy IFP UZ — Zielonogórskich Seminariów Literaturoznawczych (seria sesji pod wspólnym tytułem), którym patronują Panie Prof. M. Mikołajczak i Dr D. Kulczycka (zob. *Lista prac, W druku*, poz. 14). Niejednokrotnie z prelekcjami gościłem w zielonogórskich szkołach średnich, m.in. w VII Liceum Ogólnokształcącym (przy ul. Wyspiańskiego 21, zaproszenie od Pani E. Gruszeckiej, nauczyciel języka polskiego) czy Zespole Szkół Ekonomicznych (przy ul. Długiej 5, zaproszenie od Pani M. Pieniążek, nauczyciel języka polskiego). W 1994 mogłem przysłuchiwać się debatom nt. „Czy potrzebna jest nowa synteza literatury staropolskiej?” w ramach pierwszej z cyklu sesji naukowych pt. „Kolokwia staropolskie” organizowanych przez Pracownię Literatury Renesansu i Baroku IBL PAN przy współpracy Katedry Literatury Staropolskiej KUL. Rok później, w maju, znalazłem się w delegacji zielonogórskich akademików na Zjazd Polonistów w Warszawie pod hasłem: „Wiedza o literaturze i edukacja”. Uczestniczyłem w obradach plenarnych i sekcjach, w których dominowała tematyka wiążąca się z literaturą dawną.

4.

(wskazanie osiągnięcia wynikającego z art. 16, ust. 2 ustawy z dnia 14 marca 2003 r. [ze zmianami])

W pełni samodzielnie spisana książka pt. *„Skądże to zbłąźnienie świata?” Wojciecha Dembołęckiego „Wywód jedynowłasnego państwa świata” (studium monograficzne i edycja krytyczna)* [1/1], wierzę, może spełnić ustawowe warunki stawiane autorom rozpraw ubiegających się o stopień doktora habilitowanego. Jest to, jak stanowi brzmienie tytułu rozprawy, próba pierwszej (od blisko czterystu lat) pełnej edycji traktatu, ponadto zaopatrzonej w jego w miarę wszechstronne omówienie. Przedsięwzięcie to może wydawać się zupełnie zbędne, nieuzasadnione, przede wszystkim dlatego, że w tym utworze jego twórca „plótł” same „dzieciństwa”, jak w większości się powtarza, określając ów „sennik polityczny” (a sporo prawdy w tym stwierdzeniu) terminem „curiosum” czy „głupstwo”. Niemniej bliższy ogląd wcześniejszych prac Dembołęckiego pozwala nabrać szacunku dla człowieka, czytanego, obrotowego dyplomaty, niepozbawionego poczucia humoru, ogłady intelektualnej, zajmującego się lingwistyką (choćby ze względu na swoją osobistą pasję), dobrze obeznanego z arkanami retoryki, polihistora itp., co jeszcze dobitniej wyłania się z *Wywodu*, z którym nauka polska, jeśli wolno tak powiedzieć, wciąż się ostatecznie nie rozliczyła.

Może to i karkołomny pomysł, by wznawiać jedną z bardziej ponoć niedorzecznych enuncjacji XVII wieku. Chyba z podobnych powodów osobliwość *Przewag* podkreślają badacze, niemniej wznowienie relacji kapelana w 2005 roku właściwie rozeszło się bez śladu we wcale okazałym nakładzie [6/6]. Ale *Wywód* — to już problem większego kalibru. W końcu przestrzeń Korony Polskiej z pamiętnika-kroniki, ograniczonej przez niektóre granice świata chrześcijańskiego, w 1633 roku urosła do rozmiaru globu, z Amerykami, Afryką, Europą, Azją i Australią... Prym naród miał wieść nie tylko na mapie geograficzno-politycznej, ale i w historycznym trwaniu,

js.

więc rzekomo, uczenie dowodził (albo raczej: zwodził) pisarz, Adam i Ewa z *Księgi rodzaju* porozumiewali się po polsku, a przynajmniej po słowiańsku. Wszystko na wyrost i na pokaz, zgodnie z życzeniem szlacheckiego tłumu, nie bez przymówki i oczywistej nagany — to kurtuazyjnie przemilczana albo aluzyjnie przemyczona krytyka rodaków, nierzadko objawiająca się w tej ponoć... największej kompromitacji Dembołęckiego. Jednak serii zniewag nie zaznał on słusznie. Jeśli już, to należne są z zupełnie innych powodów. Zasluguje wprowadzić na miano mitomana, ale najpierw manipulatora oraz łgarza, kłamiącego z premedytacją.

Jeden z wydawców fragmentu *Wywodu* (K. Jurewicz) niedawno stwierdził, chyba zasadnie, że dzieło jest prawie nieznane, podkreślił barierę, jaka spowodowała taki stan rzeczy, mianowicie niestaranność i niewolność od błędów pierwodruk. Pochylano się nad nim rzadko, a w większości prac poświęconych wyłącznie traktatowi dominuje strategia rekonstrukcyjna, odtwarzająca treść tekstu z 1633 roku, dlatego też zabrakło w tych studiach odpowiedzi na najważniejsze pytania. Najlepszy przykład stereotypowego postrzegania tej książki Dembołęckiego stanowi wręcz machinalne, odruchowe kojarzenie jej ze zbiorem etymologicznych błędów i wypaczeń (skwapliwie omawianych, nie bez ironii, np. przez J. Puzyninę), mimo że już wcześniej M. Kochańska trafnie stwierdziła wtórność tego żywiołu w koncepcji księdza, stanowiącego jedynie wsparcie w dowodzeniu. I tak jest w istocie, na co wskazuje ewidentny infantylizm językowych „banialuków” i „ambajów” (zresztą nie tylko), krojonych na miarę nie zawsze dobrze wykształconego odbiorcy herbowego. Potwierdza wreszcie hierarchia trzech tez utworu, dopiero ostatnia z nich, pomocnicza, zawiera się w stwierdzeniu: „język słowieński pierwotny jest na świecie”.

Reedycję wykonano z ambicją sprostania regułom definiującym zasady wydawania tekstów staropolskich (w transkrypcji typu B), nie bez oczywistych odstępstw od proponowanych przepisów (zresztą z powodu wyjątkowej specyfiki zabytku). Dyskurs siedemnastowiecznego księdza, rzecz jasna, poddano analizie we wprowadzającym wstępie historycznoliterackim. Zgrubnie wolno powiedzieć, że obszary namysłu wyznaczyły m.in. następujące zagadnienia: biogram autora, jego wcześniejszy („lisowski”) dorobek „prowadzący” do *Wywodu* (rekonesans ustalający skalę zbliżeń i oddaleń), nasza dotychczasowa wiedza o dziele, jego źródła, tematyka (sprawy języka, kwestia władzy i własności, uprzywilejowanie wynikające z „polskiej” etnogenezy wszystkich, a w efekcie i polskiego początku wszystkiego, co cenne, wartościowe, itp.). Zdumiewają zapewne osobliwe, ale uzasadnione zdrowym rozsądkiem (reprezentowanym przez pokłon autorytetowi Jana Kochanowskiego), korekty Dembołęckiego w ojczyściej genealogii, bagatelizującego rolę np. legendarnego Lecha (zabobon ten oraz inne nasz franciszkanin rekompensuje kolejnymi, wyssanymi z palca, mitami). Jeszcze bardziej zadziwia zadłużenie się duchownego u jego „nacjonalnych” konkurentów, bo można ich wręcz nazwać po prostu mistrzami Polaka, a zwłaszcza chodzi o... J. G. Bkanusa, gloryfikatora Brabancji, jej mieszkańców oraz ich mowy, zresztą — o ironio — potępionego w *Wywodzie*.

I ponownie stajemy w obliczu problemu języka. Wobec czego utalentowany badacz młodszej generacji (K. Jurewicz) sytuował Dembołęckiego w pozycji polemisty,

js.

debatującego nad zagadnieniem pramowy, niemniej konkluzja ta wypada częściowo nieprzekonująco, ponieważ większość dyskutantów ówczesnie zabierała głos w łacinie, natomiast decyzja naszego pisarza, wypowiadającego się w ojczystym języku, nosi znamiona fundamentalnej i gruntownie przemyślanej. Słusznej skądinąd, gromy na księdza Wojciecha posypały się przecież wyłącznie z polskiego nieba, Europa zaś milczała jak zaklęta, zupełnie inny scenariusz zafunkcjonował w odniesieniu do wspomnianego autora *Początków antwerpskich*, jego myśli odbiły się szerokim echem na całym kontynencie, jeszcze w XVI wieku i długo potem (np. G. W. Leibniz), a wiele analogicznych, lecz konkurencyjnych hipotez odwoływało się (w duchu refutacyjnym) do ustaleń głośnego Goropiusa. Dla Dembołęckiego w tej skali zabrakło miejsca, co jest pokłosiem świadomości duchownego celu własnej wypowiedzi oraz jej ograniczonej, z założenia, nośności.

Wywód bowiem przejawia w najwyższym stopniu cechy dzieła propagandowego, adresowanego do wielonarodowej społeczności Rzeczypospolitej i odwołującego się do „świętych” (sarmackich) wartości ówczesnej szlachty (wyjątkowość, „starożytność”, zażyłość z Bogiem itp.). Dodatkowo petryfikuje te dobrze ugruntowane w naszej kulturze przekonania, wzmacnia je i wyzyskuje, by ukazać mandat Korony do rządu nad światem — w skali makro, w mikro zaś — choćby do podboju terytoriów imperium osmańskiego. Argumentacja historyczna sprawy te ukazuje w perspektywie konieczności odzyskania dawnych przywilejów, w toku dziejów bodaj utraczonych. Oto najważniejsze przesłanie dyskursu. W następstwie takiego toku rozumowania nasi królowie np. Zygmunt III i jego syn Władysław IV (nieważne, że... importowani) byli w bezpośredniej linii potomkami biblijnego Adama, więc ich prawem jest władza nad planetą i jej mieszkańcami. Inna pochodna — pierwszy człowiek zwracał się do Ewy słowami zrozumiałymi dla rodaków nietuzinkowego mnicha z lisowską przeszłością. Chyba takiej logiki na zaakceptowałiby Włosi, Francuzi czy Niemcy... Polszczyzna, język dzieła, okazała się w tym wypadku rodzajem skutecznego immunitetu, chroniącego autora przed potencjalnymi atakami i spodziewaną falą krytyki.

Swego ideowego kolosa Dembołęcki wznosił z wykorzystaniem instrumentów naukowych, które omówił w rozbudowanym wstępie metodologicznym — Biblia, „głos pospolity” (informacje na temat przeszłości), rzeczywisty ponoć sens „odpsowanej” leksyki (etymologia). To właściwie źródła wiedzy i obszar kwerendy, a więc przede wszystkim Stary Testament, historia (ale w szczególnym rozumieniu) oraz zaklęta w dawnych słowach prawda. Głównym narzędziem badawczym, jakim się posłużył autor, była jednak interpretacja, oparta na ekspozycji osobliwych analogii, różnorodnych asocjacji. Ponadto, ale z tego się nie zwierzał, retusze, przemilczenia, przejawskrawienia, uzurpacje, hipotezy bezceremonialnie przemieniane w aksjomaty, sylogizmy, szczątkowe przejmowanie i adaptowanie przekazów, legend, podań, insynuacje itd. Efekt tych działań przybrał postać skrajnej apoteozy Polaków, komponowanej w aurze uczoności, manifestowanej bezsprzecznie ponadprzeciętną erudycją pisarza. Ale jak spożytkowaną! Niemniej w istocie powstał kolos na glinianych

ps -

nogach, bliższy jego ogłód pozwala go z łatwością obrócić w pył, z czego książd Wojciech znakomicie zdawał sobie sprawę.

Doprawdy wybujałej fantazji Dembołęckiego zawdzięczamy najbardziej nieprawdopodobne spostrzeżenia i wnioski. Niech za reprezentacyjny ich wybór posłuży tych kilka przykładów. Brat Kaina oraz Abła, Set, to z uwagi na bliskość brzmieniową Scyt, Skytes, znany z pism Herodota. I choć Dzieje Greka mnich Wojciech znał doskonale... ślepo im nie wierzył, bo ten Skytes-Scyt-Set był jednak trzecim synem pierwszych ludzi. Niemniej inny szczegół z opowiadania z V w. p.n.e. również odegrał istotną rolę, mowa o pasie, to z łaciny „balthus” — w teorii księdza dowód „ciągatury władzy”, a tkwiący w jej językowym znaku ślad wyraźnie miał wskazywać na jedno z imion naszego przodka (Baala) i Boskie namaszczenie („theus”) w nieprzerwanej sukcesji w powszechnym panowaniu. Co ciekawe, Herkules (Herkles) nie był ojcem rzeczzonego Scyta-Skytesa-Seta (był nim Adam), ale wśród jego potomków znalazł się również Scytes, a właściwie Szczyciec. Jest i Echidna w tej całej zrewidowanej opowieści, ale to synonim... Polski, podobnie z kradzieżą koni (Herkulesa okradła Echidna) — to wymyślane zdarzenie (bo inni rzecz „w baje ubrali”), przekonuje Dembołęcki, będące ekwiwalentem niebezpieczeństw, jakie napotkał heros, gdyż o mały włos nie utonął w Donie. Stąd też wreszcie otrzymał nowe miano: Toniec, Tanaus (od ‘t’ do ‘d’ blisko, sprawa dźwięczności lub jej braku, o prefiksy nie warto się martwić). A szczytnych imion posiadał bez liku... Także Polach, Polluks, Jowisz, Iwan itd. To jeden z ważniejszych naszych praszczurów.

Ta modelowa egzemplifikacja perswazyjnej taktyki ukazuje, jak twórczo można „połączyć” biblijne perykopy z legendą Herodota (wobec której sam dziejopis ery przedchrystusowej się dystansował) oraz np. z uwagami Justyna na podstawie zapisów Trogusa. Tak czy inaczej, „wywodowa” koncepcja „przekonująco” zagarnęła dla siebie najdawniejszą przeszłość Scytów, na ołtarzu patriotycznego uniesienia ofiarowaną Polakom, ich potomkom. I tu ciekawa sprawa — książka Dembołęckiego, uchodząca za apogeum ciemnoty i zacierzawienia sarmatyzmu, jest najbardziej nie-sarmacką i zarazem sarmacką (w pewnym sensie, w związku z umiłowaniem do laudacyjnych przejawów) książką epoki, bo u Scytów winniśmy poszukiwać naszych korzeni, nie Sarmatów. Choć ci ostatni również wzięli udział w naszym spektakularnym pochodzie przez dzieje. Ideolog nie mógł, nie chciał ani też się nie dało przejść obok tego ewidentnego dogmatu, lecz ten ostatni został zmodyfikowany i Sarmaci pojawili się w szatach... Carmatów, tj. mających „carstwo” nad światem. To z kolei przykład językowej woltyżerki, będącej świetną podpórką konstruowanej pochwały na wyrost i spójnej z ideą panów świata. Oto dowód, jeden z wielu, wtórności i użyteczności argumentu językowego.

Dembołęcki nie tworzy zwartych, skondensowanych przypomnień, wątki czy motywy przywołanej poglądowo opowieści pojawiają się w traktacie w różnych kontekstach. Wykorzystuje je barokowy „badacz” zgodnie z teleologicznymi uwarunkowaniami swojego dzieła. W sposób wyrafinowany zniekształcający obraz pewnych zdarzeń i żerujący na niewiedzy lub szczątkowej wiedzy czytelnika. Niby wszystko pasuje jak ulał, ale grubymi, jak widać, nićmi szyte, niemniej na miarę żadnej komple-

Ps.

mentów braci szlacheckiej. Jeszcze jeden detal — ksiądz Wojciech w kronice H. Schedla wyczytał imię żony Jafeta: „Fundą”, o czym wspomniał niby mimochodem, jednak wyraźnie w ten sposób nawiązał do legendarnej Wandy, co Niemca nie chciała, znanej choćby z dziejopisarskiego zapisu Kadłubka. Nad tematem autor siedemnastowieczny specjalnie się nie rozwodził, jednakże — w tym stanie rzeczy — to ona zrodziła naszego najbardziej hołubionego w *Wywodzie* ojczyznego protoplastę — biblijnego Goga, „pominiętego” w zestawieniu potomstwa Jafeta. Dopatrzył się go franciszkanin w Jawanie, by w sławnej parze mogli razem pojawiać się Magog i Gog. Ten pierwszy to Lach, drugi zaś — Polach albo jeszcze inaczej, odpowiednio: Łąg i Poląg, ponieważ ten ostatni „połógł” jako następca po swoim bracie na stolicy świata. I tak słowa unaocniają „odkrywcze” rozpoznania księdza Wojciecha, przypieczętowując ich „trafność” ewidentnym, przemawiającym wprost świadectwem językowym. Nawiasem mówiąc, obraz Fundy-Wandy również doznał uszczerbku, twórca na papierze pozbawił ją dziewictwa, a przynajmniej skorygował fakt, iż zmarła w stanie bezżennym jako panna (nawet i w podeszłym wieku).

Pseudonaukowym fundamentem tych osobliwych transformacji uczynił pisarz jedno z założeń metodologicznych. Chodzi o zapowiadane już oryginalne pojmowanie historii. Dembołęcki w równym stopniu nie ufa dawnym historiografom, jednocześnie on właśnie decyduje, które źródło wiadomości zasługuje na miano wiarygodnego. Występuje więc w roli recenzenta, sędziego, arbitralnie wyrokującego na ten temat, mało tego, posuwa się dalej — poprawia fałszywe, jego zdaniem, sprawozdania i obserwacje, powołując się na wspomniany wcześniej „głos pospolity”. Zawarta więc w przekazie ludowym, jak wolno sądzić, informacja dzięki swojej miarodajności góruje nad rekonstrukcją dziejową spisaną przez historyków, a sam rzeczownik wskazujący dziejopisów rodzi poważne wątpliwości. Dowodził ksiądz Wojciech efektownie i bez skrupułów, że skutek ich wysiłków daje „historiją lubo raczej histryjoństwo jakieś”, co należy rozumieć bezsprzecznie jako błazenadę. Na przeciwnym skrajnym biegunie umiejscowił pochwalaną „istoriją abo istą rzecz”, dającą ponoć rzetelny wgląd w to, „jako co było” naprawdę. Tak skonstruowana optyka zapewniła Dembołęckiemu nieograniczone pole manewru w swoich elukubracjach, co nieuchronnie prowadzi do orzeczenia, że lektor obcuje z tekstem w najwyższym stopniu tendencyjnym, natomiast jego autor zasługuje na najniższe noty z powodu oczywistych manipulacji, przejawów dyktowanych ideologicznym planem.

Z tym terminologicznym rozróżnieniem, trzeba wszakże dopowiedzieć, łączy się jedna z bardziej nieoczekiwanych konsekwencji urzeczywistnionych w traktatowej prozie, zasadniczą bowiem partię dzieła otwiera zaskakujący nagłówek... „wywód historycki”. Na mapie znaczeń książki z 1633 roku równoznaczny z bajdurzeniem, zabawą kuglarza, żonglującego faktem. Nie zrządzenie losu wprowadziło literę „h” przed pożądaną „istoriją”, gdyż piszący z rozmysłem używa obu form w całym tekście, m.in. jedną z nich konsekwentnie stosuje w tytule innego własnego dzieła — *Speculum istoricum universalis istoriae*. Podejrzenia rodzi też laurkowa opinia dołączona do roboty Dembołęckiego o „historii przedpotopowej”, wystawiona w czerwcu 1631 roku, a więc około dwa lata przed publikacją *Wywodu*. Chyba dotyczy innego

dzieła, choć ksiądz Wojciech zadbał o wrażenie, że odnosi się do książki z 1633 roku. Zresztą, co ciekawe, dopiero co wspomniane *Zwierciadło historyczne* w chwili odbijania „wywodowych” dywagacji wciąż nie było ukończone, skoro autor zwierzał się, że „*Speculum* świata łacińskim językiem gotuję”. Co zatem podlegało ocenie przez specjalnie w tym celu powołaną przez generała zakonu komisję? Na pewno nie *Wywód*, gdyż za jego napisanie Dembołęcki, wolno przypuszczać, otrzymałby takie same noty, jak Bekanus. Raczej to kolejna zmyślna mistyfikacja. Można tę ocenę nieco złagodzić i uznać przedłożoną recenzję za promocję jedynie twórcy (za sprawą innych jego pisarskich wytworów).

Fasadowo laudacyjny przekaz Dembołęckiego skrywa sporą dozę krytyki, płynącą niejako podskórnym nurtem. Warto przyjrzeć się wybranym kontekstom ewokowanym np. przez całą paletę imion ponoć naszego najwybitniejszego przodków — Goga i jego brata. Wizerunek Baala zdradzają wersety Starego Testamentu (a także egzegeci oraz dziejopisarze tworzący obraz dziejów powszechnych od stworzenia) i jego bliskość z pomiotem szatańskim, podobnie z Lelem i Polelem, wywołanym za sprawą pieśniowych „okrzykników”, jak się wyraził A. Brückner, mianowicie „lelum polelum”, zrównanych z Kastorem i Polluksem, a m.in. przez J. Wujka postrzeganych jako pijanice i utracjusze. W tym ostatnim Dioskurze Dembołęcki widział Polaka, to na niego przysięgano (więc opromieniała go boska aura), tu w sukurs przyszedł język Plauta („per Pollucem” — „na Polluksa”). Ksiądz odnalazł swoich rodaków również w Palestynie, niemniej nie tylko onomastyczny znak miał tu być wyraźnym śladem (Polaszczyna), bo przede wszystkim określenie („pollani” lub „pullani”) i obyczaje potomków zdobywców Ziemi Świętej, zniewieściałych i niezdolnych do orężnego wysiłku. Podsumowując, wiele tu ironii, przymówek — ich mechanizm dobrze ilustrują przysłowia: jaki ojciec, taki syn... albo: niedaleko pada jabłko od jabłoni czy wreszcie: jaki pan, taki kram.

Nie warto wierzyć w jaskrawe przerosty historyczne *Wyvodu*, w jego świetle i faraonowie legitymowali się polskim paszportem, więc niejedna mumia i sfinks, symbol władzy, odznaczają się... rodzimymi rysami twarzy. Wizygoci to „Wyskoczgotowi” — nasza... lekka jazda kozacka, Ostrogoci — uzbrojeni i gotowi na ostro, więc chyba husaria. Przykłady tego rodzaju „oczywistości” można mnożyć, wszystkie potwierdzają w jakimś sensie ideę traktatu, ale ich natura — nie tylko ocierająca się o infantyлизм, bo w zamierzeniu twórcy to po prostu atrakcyjnie opakowana, choć po trosze zakamufLOWANA dziecinada — ujawnia obłudną grę autora. Niezwykłą, niepowtarzalną i wyrafinowaną. Czy można inaczej przyjmować zdania o proveniencji rodzimej części ludzkości, mianowicie że wywodzimy się z Babilonu, tj. — objaśnia kompetentny polihistor rubacha — z „babiego łona”. Nie koniec na tym tych rewelacji, wzięliśmy się... „od tyta abo od cyca” (bo w pochodzie Polaków przez dzieje swój udział mieli i Tytani, określani też przez Dembołęckiego „kochankami”, którzy m.in. ściągnęli na świat potop, jak czytamy w *Księdze rodzaju* i np. u Józefa Flawiusza). I wszystko poniekąd jakby prawda...

Wciąż nie ujawniliśmy wszystkich tajemnic traktatu. Największą przedstawia krótki wiersz wieńczący dzieło — *Do Gryzostawa*. Od całości wyraźnie odbiega for-

mą, strukturą, tonacją, językiem, intencją. Jest buńczuczny, zachęcający do gryzienia, tj. także krytyki. Okazuje się wszakże, iż w jego treści autor zmieścił misternie skomponowany szyfr, prezentujący stosunek samego twórcy wobec myśli wypełniających *Wywód*. Prowokujący styl sekstyny bagatelizuje górnolotność naukowych rozważań, a rymowany apel domaga się zwłaszcza responsu zoila o szczególnym imieniu, co należy traktować jako sugestię i odpowiedź we właściwym odcyfrowaniu zakrytego przed „profanami” wyznania. Wielce prawdopodobne, że znał je I. Krasicki; w zagadkowej *Myszeidzie* w jednej ze strof ogólniejszej natury, od dziesięcioleci przykuwających uwagę badaczy (gdyż także nie do końca przystaje do heroikomicznej konwencji), stwierdzał po trosze enigmatycznie: „Wierzmy z pospólstwem, a śmiejmy się w ciszy”. Z kolei w poetyckim liście do A. Naruszewicza nawoływał: „Nie wierzy dziełom takim, kto niegodzien wierzyć”, wreszcie wydawał osąd: „Bajarz, choć sam nie wierzył, plótl bajki wymownie”. Zdania te, niczym wyjęte z recenzji *Wywodu*, zmuszają do głębokiej refleksji. Wróćmy jednak do kryptonimicznego wypowiedzenia księdza Wojciecha (wyłuskanego z prawie idealnego schematu skomponowanej architektury wiersza): „Gryź gry, a bij jeno piórkiem, bo nie ufam mojej prawdy pióra”.

Ukazane w zarysie odczytanie *Wywodu* stanowi nie tylko gruntowniejszy ogląd utworu, ale także jego dość diametralnie inną niż dotąd interpretację. W pracy nad traktatem mogłem liczyć zaledwie na kilka szkiców poświęconych tekstowi, podejmujących wybrane zagadnienia zabytku. Wkładu do nauki polskiej ich sprawców nie trzeba uzasadniać, to studia pionierskie, a ponieważ nie wykraczały poza pewne ramy, pozostał mi właściwie bój z *Wywodem*. To była, pozwolę sobie na osobiste wy-nurzenie, najtrudniejsza moja przeprawa z dorobkiem Dembołęckiego. Inspirujące i zastanawiające okazały się rozpoznania dziewiętnastowieczne, a zwłaszcza F. Bentkowskiego. W końcu przez około piętnaście lat zajmuję się spuścizną księdza kape-lana lisowczyków, a tę ostatnią pracę (to szósta tak profilowana moja książka) traktuję jako zwieńczenie przygody z „bratem wagabundą”, zachęcając do rzetelnej dyskusji nad *Wywodem*, będącym „szczytem szczytów” megalomanii narodowej, jak pisał Z. Ogonowski, a może raczej mirażem tego wierzchołka samouwielbienia. Ileż analogicznych zjawisk podał w ostatnich latach U. Eco, a jego znakomity *Cmentarz w Pradze* to popularny dowód licznych falsyfikacji, jakich w literaturze, kulturze dopuścili się ludzie różnego autoramentu. Dembołęckiego, mimo wielu jego niekwestio-nowanych talentów (zmarnowanych), nie tylko można, ale trzeba zaliczyć do grupy blagierów z najwyższej półki.

Sądzę, że ta praca nie tylko wypełnia lukę materiałową (za sprawą edycji), ale pozwoli lub raczej skłoni do odmiennego podejścia do *Wywodu*, wcale nie jednoznacz-nego, lecz różnoimiennego i skomplikowanego. O innych zaletach przedsięwzięcia pisał recenzent wydawniczy książki, obok Prof. dra hab. S. Kufla, Prof. dr hab. Józef Tomasz Pokrzywniak: „[...] celowość wydania całości jest oczywista [...]. *Wywód* Dembołęckiego to dzieło swoiste, można powiedzieć kuriozalne, ale niezwykle ważne, często przywoływane w badaniach nad polską kulturą, historiografią i historiozo-

js.

fią, historią literatury, sarmatyzmem, historią języka wreszcie". Dodajmy jeszcze — historią idei.

Podjęcie zagadnienia i przedłożone rozstrzygnięcia docenili także Prof. dr hab. Wiesław Wydra, z którym wielokrotnie konsultuję podejmowane przedsięwzięcia, Prof. dr hab. Piotr Borek, który zechciał przyjąć i zaakceptował do druku jeden ze szkiców na temat *Wywodu* (w porównaniu z *Przewagami*). Ponadto Prof. dr hab. Marek Nalepa we współpracy z Prof. drem hab. Arturem Timofiejewem (jako recenzentem) zechcieli wyrazić zgodę na ogłoszenie skrótego fragmentu rozważań o traktacie. Podobnie ze studium w „Literaturze Ludowej” (2012, nr 1) i piątym tomem *Fantastyczności i cudowności*, redagowanej przez Prof. dra hab. B. Trochę i dra T. Ratajczaka. Wszystkie promują i zapowiadają omawianą książkę (te artykuły są albo podsumowaniami, albo szkicami osnutymi wokół zagadnień wiążących się z *Wywodem*). Inne (wspomniane w 3.c., zob. też *Lista prac, W druku*) zapewne poszerzają, rozwijają i dopełniają studia o *Wywodzie*, a także mogą stanowić ważną podstawę do dalszych badań pogłębiających wiedzę na temat literackiego dorobku Dembołęckiego.

5.

(omówienie pozostałych osiągnięć naukowo-badawczych oraz najbliższych planów)

Po obronie pracy magisterskiej na jej podstawie przygotowałem, w największym możliwym skrócie, debiutancką rozprawkę o genologicznych powikłaniach *Kroniki Janka z Czarnkowa* [12/31]. Wróciłem jeszcze do zabytku, choć pracowałem już nad *Przewagami elearów polskich*. Ten utwór miał stanowić ośnowę moich dalszych prac. Śmierć Profesora W. Magnuszewskiego, mojego Promotora i Mistrza, nie przekreśliła jednak tych planów, mimo iż zmodyfikowanych. Podjąłem się edycji i monograficznego omówienia osobistej kroniki z dziejów lisowczyków ich kapelana pod patronatem Prof. W. Wydry.

Zgrubnie główny nurt moich prac naukowych można podzielić na dwa etapy, ich cezurę stanowi rok 2005, kiedy to drukiem ukazały się dwie książki, pierwsza zawierająca edycję wspomnianego pamiętnika-kroniki księdza Wojciecha, wyposażoną w komentarz rzeczowy i poprzedzoną historycznoliterackim wstępem (Toruń 2005) [6/6]. W większości to pokłosie dysertacji doktorskiej, powtórzyłem tu dwa rozdziały, a jeden z nich jest w miarę syntetyczną charakterystyką relacji z 1623 roku oraz jej autora. Druga książka (Zielona Góra 2005) [5/5] składa się z trzech części, pierwsza z nich to także repetycja czterech rozdziałów doktoratu, dwie kolejne wypełniają szkice napisane specjalnie dla tego przedsięwzięcia (sześć rozdziałów). Jej zawartość zechciał zrecenzować Prof. dr hab. Ryszard Marciniak: „problematyka lisowczyków [...] przez długie lata była nieobecna w historiografii polskiej. Przyczyniło się do tego m.in. ubóstwo podstawy źródłowej, którą na dobrą sprawę — jak się okazuje — wypełniają prawie w całości utwory franciszkanina. [...] Wśród tych tekstów najważniejszą pozycję stanowią *Przewagi elearów polskich* [...]. Książka zajmuje się przede wszystkim Dembołęckim jako autorem lisowianów i *Przewagami*, których krytycznej edycji nauka polska oczekuje już od dłuższego czasu”. Monografia zawierająca

ps.

wznowienie zabytku z 1623 roku otrzymała pochlebną recenzję Prof. dra hab. Piotra Borka, ogłoszoną na łamach „Baroku” (2006, z. 2/26).

Do roku 1999 ukazały się nigdy więcej niepublikowane inne teksty zapowiadające dwie wspomniane monografie (w „Pamiętniku Literackim” [6/19], „Literaturze Ludowej” [4/17] i zielonogórskiej „Filologii Polskiej” [8/27]). We wszystkich tych omówieniach koncentrowałem się m.in. na następujących zagadnieniach: uwarunkowania genologiczne dzieła, etymologia w modelowaniu portretu eleara, przysłowia, walory retoryczne, prawda historyczna i fikcja, Biblia w *Przewagach*, relacja jako pamiętnik duszpasterza wojskowego itp. Udało się też uporządkować dane o rzeczywistych wydaniach *Przewag*, a sporo tu nieporozumień, zresztą niestety powtarzanych do dziś.

Zwłaszcza druga omówiona książka i przede wszystkim jej rozdział drugi miał wyznaczyć obszar dalszych poszukiwań. Chodzi o pomniejsze lisowiana apologetyczne przypisywane Dembołęckiemu. Nie oznacza to, że zaprzestałem wypowiadania się na temat *Przewag* (najczęściej za sprawą zachęty i zaproszeń przedstawicieli rozmaitych ośrodków naukowych), pojawiały się kolejne studia, np. na temat miejsca przekazu na mapie polskiego pamiętnikarstwa, strategii manipulacyjnych mających na celu ukazanie „przeważnej” sylwetki lisowczyka. Zredagowałem też rozprawki podejmujące zagadnienie tej tajemnej formacji zbrojnej z XVII wieku w ujęciach ogólniejszych dzięki rozszerzeniu analizowanych materiałów źródłowych (w tym np. specyfika i odrębność tego wojska, źródła legendy lisowskiej itp.). Zmierzałem w tych wysiłkach do dopełnienia i oddania całokształtu obrazu pisarskiej przygody księdza Wojciecha z osławionymi kondotierami.

Wynikiem tak profilowanych poszukiwań są co najmniej dwie książki z roku 2009 [4/4] i 2011 [2/2]. Tę starszą monografię (Zielona Góra) osobiście uznaję za jedno z większych wyzwań, ponieważ wydanie zawartej w niej *Deklaracji abo objaśnienia Kart kozackich* wymagało nie tylko kwerendy, badań, ale i rozmaitych zabiegów natury pozamerytorycznej (pozyskanie praw autorskich umożliwiających powielenie pozostającego w bezpośrednim związku z zabytkiem rękopisu łacińskiego i cyklu rycin austriackich, przechowywanych w Bibliotece Muzeum Narodowego w Pradze). Projekt ostatecznie zrealizowano i niewątpliwie jego rezultat wolno wliczyć do bogatej tradycji utworów łączących słowo i obraz, zresztą ze względu na tematykę i charakter przekazów nie tylko w wymiarze polskim, ale i europejskim. Jest to pierwsze wznowienie po blisko 400 latach, zaopatrzone w tekst broszury (transkrypcja typu B) oraz tekst łaciński wraz z jego translacją, całość opatrzone stosownym komentarzem, ponadto zamieszczono reprodukcje wydawanych źródeł. Wyłącznie ich wspólna prezentacja gwarantuje względną kompletność rzeczywistego zamiaru artystycznego i jego przesłania.

Już na pierwszy rzut oka druk z 1621 jest niekompletny i wskazuje jakiś wiedeński pierwowzór, po prostu brak tu ilustracji, do których odnosi się cykl 36 epigramatów. Te jednak się zachowały m.in., jak wspomniano, w Czechach, lecz nie do końca w oryginalnej postaci, gdyż właściciel pierwotnej publikacji wyciął z niej wszystkie ryciny i każdą z nich wkleił mniej więcej centralnie na kolejne karty większego forma-

ps -

tu. Następnie miedzioryty otrzymały manuskryptowe subskrypcje łacińskie, pisane nieznaną ręką, prozą. Wydaje się wreszcie, że polski tekst jest ściśle zależny od opisanego właśnie zabytku praskiego, nadto implikuje materiał plastyczny. Dodajmy, że nad sztychami zawsze góruje motto, a za drukiem austriackim niewolniczo je powtórzono w 34 wypadkach (to prawie 95%). Poszczególne segmenty zasadniczej części utworu otrzymały postać emblematów, a w niektórych przypadkach stemmatów (za sprawą herbu cesarskiego). Całość zaś to rodzaj serii twórczych parafraz, przekształcających łacińską wypowiedź prozą na wierszowane sekwencje podobnie pomyślanej kompozycji w języku polskim. Istotę struktury tej ciekawej enuncjacji dodatkowo komplikuje fakt, że naśladuje ona porządek autentycznych kart do gry, zgodnie zresztą z zamysłem twórcy interesujących i wcześniejszych miedziorytów austriackich. Tendencyjnych, rzecz jasna, dlatego też pierwszą rozprawkę poświęconą tej problematyce zatytułowałem wymownie — „znaczone karty”.

W każdym razie ich wymowa gloryfikuje skuteczny wysiłek zbrojny monarchii habsburskiej, przy współudziale oręża spod lisowskich znaków, przynajmniej do czasu bitwy pod Białą Górą. Rodzima broszura wyszła spod pióra Dembołęckiego, skrywającego się za parawanem anagramu, co do wzorca (pisanego) nadal pozostajemy w sferze domniemań i przypuszczeń. Może stoi za nim jeden z sekretarzy cesarza Ferdynanda II, Franciszek Gotfryd Troilo, który zgromadził wiele rozmaitych druków ku chwale panującego akurat Habsburga, ich zbiór znalazł się w kolekcji zatytułowanej *Ferdinandus II 1619 – 1620 – 1621*, w niejednym miejscu tej antologii widać odręczne notatki najpewniej czynione przez dopiero co rzeczzonego pracownika najwyższej kancelarii austriackiej, co może świadczyć o jego wkładzie w powstanie zachynu polskiej *Deklaracji* (chodzi o podobieństwo duktu pisma). Recenzent — Prof. dr hab. Wiesław Wydra — stwierdzał, że praca przyniosła „dwa niezwykle ważne, a dotąd nieopublikowane zabytki, jeden poetycki, drugi zupełnie w Polsce nieznaną — ikonograficzny. Obydwa znakomicie się uzupełniają i komentują. Oto niespodziewanie [...] okazuje się, że tytuły wierszy w polskiej *Deklaracji* z 1621 roku są mottami emblematycznymi”.

Kolejna książka z 2011 roku (Warszawa) zawiera omówienie i edycję drobniejszych lisowianów przypisywanych Dembołęckiemu. Są to: *List i Wiersze o lisowczykach*, *Pieśni o cnych kozakach lisowskich*, *Kopia listu utrapionej Ojczyzny do rycerstwa lisowskiego*, *Żywot kozaków lisowskich* oraz *Deklaracja*. Tę ostatnią zdecydowano się włączyć ponownie do tego zbioru z uwagi na ograniczenie nakładu pracy z 2009 roku (jednakże bez ważnego pierwowzoru), ponadto jej deficyt nie zapewniłby względnej kompletności „lisowskiego” dorobku Dembołęckiego (z pominięciem *Przewag*). Całość otwiera stosunkowo obszerny *Wstęp*, analizujący różne aspekty utworów, badający także ich autorstwo. Wznowienie (transkrypcja typu B) zaś opatrzone ponownie komentarzem rzeczowym. W dwóch wypadkach do przedruków dołączono retranskrypcję, gdyż szata językowa *Listu* oraz *Wierszy* może nastęrczać niemało trudności w czytelnym odbiorze. Oba utwory ich autor spisał polszczyznę niemiłosiernie kaleczoną (i niekiedy wręcz niezrozumiałą) na modłę niemiecką, co uzasadnia pomysł na te utwory — to listy do Lutra słane przez „ministra”, więc i język ośmieszał tego ostat-

ps.

niego bez umiaru. Sporo tu sowizdrzalskiego humoru, nie brakuje go też w znakomitym *Żywocie*, barwnym, żywym, zamieniającym niejedną patologię wojskową w militarny walor. Publikację oceniał Prof. dr hab. Marek Nalepa następująco: „książka [...] przynosi — oprócz cennego poznawczo, wprowadzonego na nowo w obieg czytelnicy i naukowo-badawczy (po raz pierwszy w formie zbioru) materiału faktograficznego — godną uwagi interpretację wyróżnionych [...] utworów. Tym samym stanowi ważki i potrzebny z naukowego punktu widzenia wkład w rozwój badań nad literaturą wczesnego baroku”.

Sądzę, że obie te książki wydatnie dopełniają obraz przygody Dembołęckiego z lisowczykami. Jej przejawy są ciekawe choćby ze względu na formę i pomysły twórcze, niejednakowe, zmienne, odkrywcze, mimo tendencyjnego przesłania. Oprócz wspomnianych konstrukcji (szerzej ukazana *Deklaracja*), obcujemy z osobliwymi listami (*List i Wiersze*), rodzajem skromnego w rozmiarze poematu (*Żywot*), pobudką, w której dzięki prozopopei przemawia Rzeczpospolita (*Kopia listu*), pieśniami rzeczywiście przeznaczonymi do melodyjnej intonacji. Wprawdzie to utwory doraźne, bezsprzecznie okolicznościowe, niemniej godne uwagi zarówno jako świadectwo problemów ówczesnych czasów, spraw bardzo konkretnych, jak i literackiej wprawy ich twórcy, zatroskanego o los własnego kraju, Kościoła, a jednak nie pozostającego wyłącznie w gronie twórców typowych, naśladowców dawniejszych schematów. Nietuzinkowość Dembołęckiego ujawnia jego różnorodne podejście do opisywanych zagadnień, zawsze ciekawe, odrębne i godne uwagi. Trzeba wreszcie powiedzieć, że drobiazgowo studia W. Magnuszewskiego na temat rozmiaru spuścizny księdza kapelana przeszły zupełnie bez echa (mowa o tych drobniejszych rzeczach i pozbawionych podpisu autora). Niesłusznie, gdyż ujawniły one z wielką dozą prawdopodobieństwa rzeczywistego sprawcę tych utworów, czego dowodzą inne rozpoznania, tendencja tekstów (wyjątkowa, bo wolna od oczywistej krytyki lisowskich straceńców), język, nawyki perswazyjne itd.

W 2011 roku wyszła jeszcze jedna książka (Warszawa-Zielona Góra) [3/3], w ujęciu bardziej popularna i skrótowo przedstawiająca wyniki pisarskich działań Dembołęckiego. Omówienie to pokrywa się z moimi zainteresowaniami (dawniejszymi i niedawnymi), dlatego tomik w jednej połowie poświęcono lisowskiej propagandzie księdza kapelana, w drugiej odbicie znalazło najnowsze odczytanie ideologicznych insynuacji brata Wojciecha, pomieszczonych w *Wywodzie*. Recenzent, Prof. dr hab. Bogdan Trocha, pisał: „opracowanie, wyposażone w wybór fragmentów tekstów źródłowych, stanowi zwarte, syntetyczne wprowadzenie w problematykę koncentrującą się wokół Dembołęckiego oraz jego dorobku”. Praca nie rości sobie szczególnych ambicji naukowych, niemniej stanowi rodzaj pomostu łączącego moje wcześniejsze i najnowsze ustalenia, zarazem to zapowiedź edycji *Wyvodu*, a także kresu mojej z kolei przygody z franciszkańskim duchownym, trudnej i nie zawsze przyjemnej, zwłaszcza w ostatnim okresie, gdy przyszło rozszyfrowywać bajki skrywane za fasadą naukowej uczoności w traktacie z 1633 roku. Wyznanie to nie oznacza całkowitego rozbratu z duchownym, wiele dzięki niemu się nauczyłem, nadto w innych pracach, mam wrażenie, czuję jego oddech (jeśli mogę sobie pozwolić na takie określenie). Prof. S. Kufel w recenzji monografii i edycji *Wyvodu* przypomniał i

ślenie). Prof. S. Kufel w recenzji monografii i edycji *Wywodu* przypomniał i podkreślił stwierdzenie Prof. Zbigniewa Golińskiego, postulującego „wznawianie autorów”, tj. ich całego pisanego dorobku (jako „zjawiska kulturowego”), nie tylko ich wybranych części. Sądzę, że opisane tu studia przynoszą całkiem kompletny portret Dembołęckiego jako pisarza i umożliwiają pełniejsze poznanie samego księdza, jak i narodowej literatury XVII wieku. Prace te i edycje wolno, być może, traktować jako jedną z wielu odpowiedzi na wspomniany wyżej postulat Prof. Z. Golińskiego.

Przez wszystkie lata zajmowałem się też innymi zagadnieniami. Wprawdzie przygodnie i z rozmaitych powodów, niemniej mam przekonanie zasadnie i z niejaką korzyścią. Przyglądałem się siedemnastowiecznym inspiracjom A. Mickiewicza w *Konradzie Wallenrodzie* [3/35]. Wynotowałem postulaty badawcze związane z *Kroniką Janka z Czarnkowa* [10/29]. Omówiłem literaturoznawcze konsekwencje okoliczności druku *Rytmów albo wierszy polskich z 1601 roku* Mikołaja Sępa Szarzyńskiego [7/26]. Przeanalizowałem również *Sonet I* poety w aspekcie funkcji inwersji w procesie lirycznej ekspresji wybitnego twórcy, zwiastującego literacką strategię wyrazu nadchodzącej u nas dopiero epoki baroku [5/11]. Zaproponowałem kilka korekt w portrecie pani Mors z tzw. *Rozmowy Mistrza Polikarpa ze Śmiercią*, akcentując jej rysy typowe raczej dla modnisi, uwodzicielki i kokietki aniżeli dla konwencjonalnego wyobrażenia śmiercionośnej damy z kosą czy siekierą [5/18]. W dużej kondensacji ukazałem Zbigniewa Morsztyna obraz domu, „innego” po trosze domu, wytęsknionego, ale i „z konieczności” rozmaitego (np. przemienionego w więzienie) [1/7]. Napisałem też kilka recenzji (m.in. na temat książek o *Bogurodzicy* czy o barokowej literaturze funeralnej [2/38-4/40]). Ostatnio też zadebiutowałem jako komentator twórczości lubuskiej autorki w krótkim szkicu krytycznoliterackim (o *Już wiem* Kingi Mazur, Gorzów Wielkopolski 2007) [1/14]. Od jakiegoś też czasu m.in. współ ze studentami realizuję projekt pt. „Internet — źródło wiedzy czy niewieczy?”, jego pokłosiem jest wspólny raport i jeden komunikat [4/10; 5/24].

Praca nad apologetyczną kreacją lisowczyków w literaturze epoki oraz wkład w tej materii Dembołęckiego zaowocowały również znajomością rozmaitych druków lat dwudziestych XVII wieku. Zainteresował mnie zwłaszcza jeden — *Rozmowy świeże o nowinach z Ukrainy, z Węgier i z Turck, szczególną uwagę przyciągały jego największe tajemnice, mianowicie autor oraz, chyba nie tożsamy z twórcą, „sportretowany”* (przy wykorzystaniu matrycy ukazującej trefnisia) na karcie tytułowej bohater broszury. Gruntowniejszy ogląd druku wzbudził podziw dla wierszopisa, a wiedza na temat samego tekstu mocno rozczerowała, gdyż czytając niektóre ustalenia faktograficzne na jego temat czasem można odnieść wrażenie, iż mowa o zupełnie innym zabytku (np. w pięciu dyskutantach dostrzeżono tylko czterech). Śledząc postęp studiów i z racji zainteresowań okresem i sprawami zapoznałem się także z edycją i omówieniem *Chorągwi sauromackiej* [...] Marcina Paszkowskiego wznowionej w 2008 roku. I w tym wypadku zadziwiły tryb rozważań (niewolne od oczywistych sprzeczności), przeoczenia (np. zadłużenie od J. Kochanowskiego w finałowych partiach), a przede wszystkim ocena ryzykownej tezy tegoż „minieposu” chocimskiego. Stąd też m.in. zrodził się pomysł opracowania kolejnej monografii pt. *Wieści chocim-*

JS

skie z 1621 roku (polskie „gazety ulotne”). Reedycje — reлектury — rewizje (zob. Lista prac; W opracowaniu, poz. 1; W druku, poz. 11, 14).

Praca nie zawiera wyłącznie wspomnianych tekstów, jest jeszcze *Posel z Wołoch z obozu polskiego* oraz fragment wprowadzający do *Diariusza Prokopa Zbigniewskiego* (jako dodatek), który pominął Ż. Pauli w wydaniu pamiętników o kampanii na południowe granice Rzeczypospolitej. Ten dobór uzasadnia w sposób oczywisty tematyka oraz inne kryteria, jakimi kierował się także K. Zawadzki w opracowaniu własnej bibliografii. Wszystko w komentowanej edycji (transkrypcja typu B) wraz z wprowadzeniem. Wiele emocji rodzi np. rymowana relacja Paszkowskiego, gdyż w istocie jest pochwałą pospolitego ruszenia jako zbiorowy sprawca triumfu chocimskiego, co nie tylko stanowi dziejowy fałsz, ale ze względu na laudacyjną strategię autora musi budzić sprzeciw wobec rekonstrukcji bałamutnej i naciąganej, a tylko i wyłącznie w następstwie literackiego „fortelu” dającej się obronić. *Rozmowy świeże o nowinach* nie przynoszą żadnych wieści (dlatego taki tytuł — nie nowiny, lecz debata o nich — jak najbardziej trafny), jednakże rekompensuje je seria „wrózek”, ale te ujawniają godną podziwu orientację historyczną piszącego (ale może nie anonima, lecz Wawrzyńca Chlebowskiego). W tym zakresie otrzymujemy imponującą porcję wiadomości o dawno minionym i ówczesnie aktualnym rozwoju wypadków. Napisany sprawną prozą *Posel* intryguje pragmatyzmem, trzeźwością oceny niedawnej „wiktorii”, zmusza do refleksji nad wynikiem konfrontacji zbrojnej — czy to ostatecznie wygrana wojna, czy tylko zwycięska bitwa, ku tej ostatniej konkluzji skłaniał się anonim odpowiedzialny za *Posła*, powtarzając w swojej mowie znacząco, że wróg jedynie „osłabiał, osłabiał, osłabiał”. *Wstęp* do dziennika Zbigniewskiego zaś ukazuje, z jakim wytęsknieniem wypatrywano wiarygodnych i aktualnych wieści z pola bitwy, przecież w tym wprowadzeniu pojawienie się tego zapisu porównano do gołębia nawiedzającego wreszcie arkę Noego z nieomylnym dowodem pomyślnego finału dramatycznych zdarzeń.

Prof. dr hab. Strychar